

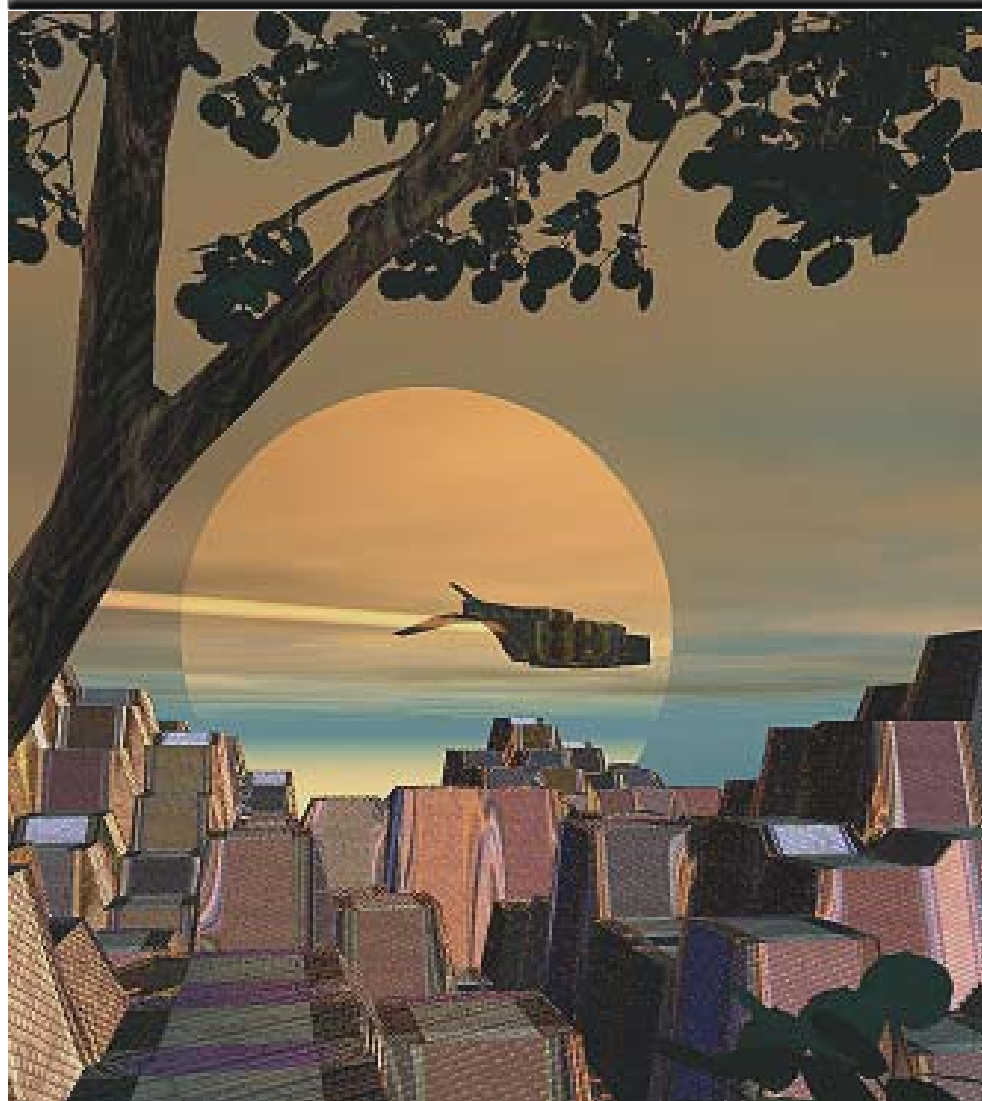
informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 225
grudzień 2007



DWIE DELEGACJE I KONWENT

Przed rokiem udało mi się – po wieloletniej przerwie – być przez pół dnia na Nordconie; wziąłem nawet udział we wspominkowym panelu. Gdy więc zbliżał się termin najnowszego Nordconu – plany były podobne. Szczerze cieszyłem się, że będę mógł odciążyć nieco Braci Szklarskich przy programie publicystycznym oraz spotkać Starych i Nowych Znajomych. Wszystko to nagle wzięło w łeb w wyniku dwóch, niemal nakładających się na siebie, delegacji: do Wrocławia i do Kalisza. Teoretycznie mógłbym między te wyjazdy wcisnąć jeszcze wypad do Jastrzębiej Góry – ale byłby to już zbytby hardcore...

Miłą niespodzianką przyszykował mi zresztą los w niedzielne przedpołudnie: na dworcu w Gdyni, idąc do dalekobieżnego pociągu – spotkałem cały tłum ludzi wracających z konwentu w różne strony Polski... Wyciskaliśmy się serdecznie, a od Maśła (któremu wpisałem dedykację na egzemplarzu kompletnych „Wampiurs Wars”) dostałem w upominku pierwszych paręnaście stron maszynopisu z jego scenariuszem prequela. Uśmiełem się w pociągu jak norka czytając wcześniejsze przygody Madeja, Pafnucego, Euzebiusza, Marcinka, Goga i innych (gdym większość tych postaci nie spotkała się jeszcze); a znając mistrzostwo Maślowej kreski oraz jego iście kresowe wycucie spirytusowych klimatów – można domniemywać, iż epizod zerowy „Wampiurów” może być naprawdę zabawnym kawałkiem współczesnego undergroundu w rodzimym komiksie!

W Kaliszu nie wydarzyło mi się nic, w sensie fantastycznym, inspirującego. Jedynie w drodze powrotnej, w pozostawionej w przedziale przez jakiegoś łódzkiego podróżnego gazecie, znalazłem notkę, która sprowokowała mnie do jednego z niusów.

Za to wcześniej we Wrocławiu chciałem w wolnej chwili zaspokoić swoją ciekawość w jednej kwestii – a tylko ją bardziej rozpałiłem. O co chodzi? Wyjaśnienie poniżej!

Bardzo lubię Wrocław. Podoba mi się zarówno dawny, jak i współczesny klimat tego miasta. Odwiedzenie Rynku Głównego czy Ostrowia Tumskiego to każdorazowo dla mnie obowiązkowy punkt „wycieczki”. Tym razem na Ostrów Tumski (co po staropolsku oznacza po prostu... wyspę katedralną) pognął mnie dodatkowy bodziec: zasłyszana niedawno gdzieś informacja, że w tej właśnie części wrocławskiego starego miasta zainstalowano gazowe latarnie. Jako wielbiciel opowiadań i powieści Conan Doyle’a nie mogłem sobie podarować takiej gratki! Nigdy wszak oświetlenia gazowego nie widziałem na żywo...

Lampę gazową wyobrażałem sobie jako coś w rodzaju lampy naftowej: że u dołu obudowy pali się taki otwarty płomień (tyle że nie na końcu knota, a u wyjścia jakiejś rurki). Tymczasem ta technologia wygląda na bardziej nowoczesną i skomplikowaną.

Gdy pod wieczór, po zakończeniu pracy, podjechałem tramwajem do Ostrowia – zauważyłem już z pewnej odległości, iż uliczne latarnie na wyspie różnią się od tych na ulicach i placach. Ich światło nie jest żółte (jak w dzisiejszych sodówkach), ale sinobiałe (jak w nieco starszych rtęciówkach). Podszedłem bliżej i... zwątpiłem. Tam nie było żadnego płomienia! U góry (a nie u dołu) obudowy świeciły bardzo blade żarówki; przeważnie cztery – ale czasem jedna była ciemna lub wykręcona. Przyjrzałem się im jednak bliżej. I zainteresowanie moje wzrosło: światelko w tych żarówczkach migotało, jakby w środku palił się jakiś maleńki płomyczek; część żarówek była nawet przepalona na wylot, ale nadal działała. Więc taki to patent? Ciekawe, czy podobnie wyglądało to w czasach Sherlocka Holmesa? Szkoda, że nie zdążyłem podjechać przed zmierzchem, by zobaczyć „rozruch” tego oświetlenia! Uliczka w gazowym oświetleniu wygląda zresztą magicznie: jest tyle widoczności, że wybicie zębów nie grozi, ale detale architektoniczne naprawdę wyraźnie oświetlone są tylko w obrębie metrowej może sfery. Nasze pseudogazowe latarnie, walące silnym światłem elektrycznym, to w porównaniu z tym oślepiający reflektor „Nautilus”!

Szkoda, że Jacek Inglot nie pisuje już u nas – pomógłbym go nieco o „dumkę” na temat szczegółów działania tych gazowych żarówek...

URODZINY

Kochani Jubilaci!

„Idzie luty - szykuj buty!”

...życzymy Wam prawdziwych, siarczystych
mrozów - być może ostatnich przed
globalnym ociepleniem!

Redakcja

- 4 Jacek Nojkampf
- 7 Paweł Gałązka
- 12 Marcin Zajdel
- 14 Przemysław Baranowski
- 15 Aleksander Deptuła
- 16 Lesław Olczak
- 20 Piotr Adamski
- 21 Monika Ginter
- 24 Dariusz Szymański
- 25 Urszula Lisowska
- 28 Lucyna Borycka
- Andrzej Prószyński



GRUDNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się 8 grudnia 2007 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

1. Sprawy personalne

1. Mianowano Pawła Krucińskiego zastępcą szefa Działu Gier Strategicznych
2. Mianowano Pawła Krucińskiego członkiem rzeczywistym GKF.
3. Przyjęcie członków do GKF:
Angmar – Michalina Biedrzycka
Brethren – Aleksandra Sibisz, Marcin Bielecki
4. Urlopy
Angmar – Przemysław Baranowski na I kwartał 2008 r.

2. Sprawy personalne

Zarząd postanowił, że składki klubowe w roku 2008 pozostaną identyczne jak w roku 2007.



Kto może przekazać 1%?

- podatnicy podatku dochodowego od osób fizycznych,
- podatnicy opodatkowani ryczałtem od przychodów ewidencjonowanych,
- podatnicy prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą i korzystający z liniowej, 19-procentowej stawki podatku.

1% można przekazać tylko w zeznaniach podatkowych złożonych w terminie („ryczałtowcy”, czyli podatnicy rozliczających się za pomocą formularza PIT-28, najpóźniej do 31 stycznia).

Jak przekazać 1% podatku? To bardzo proste!

Po wyliczeniu, ile podatku będziemy mieli do zapłacenia w tym roku, w odpowiednich rubrykach zeznania podatkowego wpisujemy nazwę i numer, pod jakim GKF widnieje w Krajowym Rejestrze Sądowym.

	Nazwa OPP: GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI	Nr KRS: 000098018	Kwota 1% podatku
PIT-28	Poz. 136	Poz. 137	Poz. 138
PIT-36	Poz. 312	Poz. 313	Poz. 314
PIT-36L	Poz. 108	Poz. 109	Poz. 110
PIT-37	Poz. 124	Poz. 125	Poz. 126
PIT-38	Poz. 60	Poz. 61	Poz. 62

Wpisujemy kwotę, którą chcemy przekazać, nie może ona jednak przekraczać 1% podatku należnego, wynikającego z zeznania podatkowego – po zaokrągleniu do pełnych dziesiątek groszy w dół.

Podatnik nie może podzielić swojego 1% między kilka organizacji.

Urząd Skarbowy prześle pieniądze na konto GKF w terminie do 3 miesięcy.

Nordcon 2007

- pierwsza relka na świecie

(po Dzienniku Bałtyckim)!!!

Mawiają "Zobaczyć Rzym i umrzeć". Z takimi Nordconami jest dużo gorzej, bo potem trzeba jeszcze ożyć i wrócić do normalnego życia. Cztery dni nordconowania wywierają trwałe piętno. I fizyczne i psychiczne.

Stali czytelnicy ZP wiedzą, że tegoroczny Nordcon odbywał się w konwencji postapokalipsia. Bardziej wtajemniczeni wiedzą, że to wszystko nasza wina, rok temu z inicjatywy Lorda Watsona zbieraliśmy podpisy pod petycją, która zmusiła organizatorów do wybrania tej tematyki. Trudno ukrywać, że pomysł był w dechę i fandom wisi nam parę pływ (Watson, przyniesiesz?).

Lokacja

Był to już drugi Nordcon rozgrywający się we wnętrzach ośrodka o kryptycznej nazwie Drejk 2. Rozbrat z nieodżałowanym D.W. Hutnik trwa niestety nadal. Nowe wnętrza, nowe warunki – niby ładniej i cieplej, ale do kultu PRLowskiego Hutnika strasznie daleko. W tym roku, dzięki dobudowanemu specjalnie na konwent łącznikowi, areał imprezy powiększył się o sąsiedni budynek Drejk 2B (nazwany tak na cześć droida 2-1B). Nowe przestrzenie, w tym ogród zimowy (aka Kopuła Gromu), przydały się konwentowi, ale licznie przybyli fani ginęli gdzieś w licznych korytarzach, hutnikowa ciasnota bardziej sprzyjała integracji. Niektórzy narzekali na drejkowe ceny (polecam im barek tegorocznego Polconu), Drejk zresztą wymusił wydłużenie konwentu o środę, grożąc podbiciem stawki noclegowej.



Klimat i oprawa

Fandom załapał kultowy klimat postapokalipsia. Odpowiednio udekorowany ośrodek, przemianowany na podziemny blokhaus-enklawę, wypełnił tłum barwnych przebierańców. Stroje, od czysto military, przechodziły w klimaty typowo madmaxowe, na hardcorem sadomaso kończąc. W tłumie wyróżniali się ciekawym ubiorem członkowie falloutowego Brotherhood of Beer, szkoda, że paru z nich starało się koniecznie udowodnić, że nawet na Nordconie trzeba umieć się zachować (*delikatnie powiedziane* - Cmdr JJA). Każdego dnia drukarnia enklawy serwowała nowy numer gazetki "Wrzask Codzienny". Obrodził Nordcon happeningami. Przybywający byli na wejściu odkażani, niepokorni wielokrotnie, większość doustnie, a bardziej podpadający zewnętrznie w basenie. Przez cały czas polowano na mutantów, podejrzanych rozstrzeliwano, by zaraz ich sklonować (narzekano na próbki materiału genetycznego starej daty). Była tradycyjna loteria (wygrałem tylko jeden znaczek!!!!).

Nie zawiodła redakcja NaCzelnym, serwując nowy numer, bohater ostatniej strony: Tandi (koordynatorka omawianego konwentu zresztą).

Program, Goście itp.

Zanim przejdziemy do dionizjów, trochę o części apollińskiej. Nie każdy nordconowicz to zauważa, ale omawiany konwent tzw. program kulturalny posiada. Chyba po raz pierwszy od lat bardzo wielu, punkty programu nakładają się na siebie, było z czego wybierać i oby tak dalej. Lista gości jak zwykle krótka, ale za to wszyscy przybyli! Pooglądać i posłuchać mogliśmy: Ewę Białołęcą, Bartosza Grykowskiego, Witka Jabłońskiego, Jacka Komudę, Rafała Kosika, Łukasza Orbitowskiego i Stanisława Mąderka. Nieoficjalnie można było spotkać EuGeniusza Dębskiego, Jacka DeCrafta czy Jacka Ingłota, żywej legendy w osobie Tadzia R.L.D. zabrakło. Wśród typowo autorsko-popularnonaukowych spotkań wyróżniały się: prelka Łukasza Orbitowskiego o przygotowaniach różnych nietrzeźwych osób z pięknego miasta Kraków oraz pijacki konkurs Jacka Komudy. Były też prelekcje mniej znanych fandomitów, brakowało nieco jakichś mocnych paneli. W odnowionej formie wrócił multikonkurs, wróciły filmowe konkursy, wiedzowe i muzyczne (ZP na podium).

Był festiwal filmów szmatławych, dziwny, bo niezastużenie leciały tam arcydzieła najwyższych lotów. W technologii HD pokazywano filmy mniej szmatławe (zdaniem pokazujących) i niestety niekoniecznie w tematyce P/A. Poziom konwentowej kinematografii wywindowali Lordowie z ZP emitując *Salute of the Jugger* jako tło do Red Bull Party. Obchodzono dziesiąte urodziny poznańskiej Drugiej Ery (100 lat!), przywołując historię klubu, ale i wciągając nowych członków.

Hitem były zorganizowane przez dzielnego Kapitana Falejczyka pokazy wojskowego sprzętu od skażeniowych spraw, zarówno w skali makro (wozy bojowe), jak i mikro (sprzęt osobisty).

Programowo lansowali się ZakazanoPlanecianie (tak, to my), największą widownię zebrał Lord Watson ze swoją mutantologią. Był paintball, Laser-TAG, konsolki i nieelektryczne gry, no i automat samochodzikowy na stanie ośrodka (w tym roku już bez wajchy do biegów). Były i atrakcje niespodziewane, nieprzewidziane w programie, np. prelekcja Oskara W. o szynowej przyszłości Szczecina, był nielegalny LARP *Spacehunters: Adventures in Forbidden Zone* (sorki Tandi), spontanicznie też inwokowano (ile wlezie) wokół fontanny ku czci kultury New Age.

Imprezownia

Jak wie każdy nerd i dziad fandomowy, Nordcon to najbardziej dionizyjski konwent w Polsce, bardziej nawet niż Bachanalia Fantastyczne w Zielonej Górze. Do karygodnej inicjatywy "100% bez alkoholu" Nordcon raczej nie dołączy w tym eonie. Życie imprezowe skupiało się na licznych korytarzowych kanapach (bliższych lub dalszych nubiańskiemu ideałowi) oraz w trzech knajpach:



Knajpa 1) "Lokal na parterze". Typowa ośrodkowa kawiarnia. Tradycyjny egipsko-aztecki wystrój. Jedyna możliwość wietrzenia dusznego wnętrza wiązała się obniżeniem temperatury o kilkanaście stopni. Mimo to pełna po brzegi.



Knajpa 2) "Piekiełko". Typowa ośrodkowa piwniczna dyskoteka z przeznaczeniem na wieczorki zapoznawcze – spory densflor i długi bar. Czynna tylko wieczorami, więc główna arena nocnych imprez. Tradycyjnie w ostatnią noc urządzono Pidżam Party - tłumy półnagich tańczących panów przebijają najlepsze wydania kąpieli ekologicznych. Nietradycyjnie w drugą noc urządzono party urodzinowe Drugiej Ery. Spostrzegawczy widzieli czasem na sali gwiazdy piosenki wszelakiej Siostry Sisters z Córkami (D.K. Król Maciuś I się kłania), niestety nie śpiewały, czirliderek również zabrakło.



Knajpa 3) "Punkt Geigera". Nietypowa nieośrodkowa knajpa, tradycyjne najsympatyczniejsze miejsce Nordconów. Wędrujący lokal, od lat pięciu organizowany przez żeński Klub Fantastyki Maćka G. im Pana Kleksa (dawniej K.F. Ingłot). Po raz pierwszy KFMGimPK organizowały knajpę w miejscu do tego fabrycznie przeznaczonym – obecność prawdziwego baru odebrała trochę relaksacyjny charakter knajpek z lat minionych (kiedyś nawet można było przerabiać ściany na lemury czy pizamę). Cena postępu?

W P/G, w udekorowanych wnętrzach, za pieniądze można było kupić banalne piwo, niebanalny kajmak, ale także zostać zjebanym (kawa i papieros w zestawie). Można było zjeść pyszną zupę Fluxx (ktoś to zamówił?) lub pograć w karciankę Oxo (nawet Garret się na turniej zapisał). Chętni mogli zobaczyć prawdziwego implanta. Do kotleta przygrywał DJ Fajne Szelki. Kroniki towarzyskie odnotowały pojawienie się dwu patronów KFMGimPK – obecnego, wspomnianego czasem na naszych łamach Maćka G. "Celofana" oraz byłego, słynnego pisarza Pana Jacka Ingłota, Pana Kleksa zabrakło. Pan Ingłot był wyraźnie niezadowolony z utraty klubu – nie usatysfakcjonowało go nawet uczczenie jego nazwiskiem przedstawiciela gatunku *Eulemur rubriventer*. "Wszyscy i tak zginiemy w zupie" – skwitował napiętą sytuację Maciek G.



Imprezowe klimaty dopełniała możliwość zaznania wieczornej kąpieli ekologicznej. Ponoć jakieś niedobre, wygodniałe widoku nagich ludzi nerdy spełniły swoje życiowe marzenie naruszając konstrukcję dachu basenu (*niemożliwe!* - *Cmdr JJA*).

To tyle o imprezowaniu, więcej jakoś nie pamiętamy. I jeszcze porada He-Mana: Po pięciu Red Bullach jest dziwnie.

Wielki Finał

Jest jeden punkt programu, który potrafi zgonić w kupę niemal wszystkich uczestników, gości i orgów konwentu. To uroczyste Zamknięcie Nordconu połączone z tradycyjnym konkursem strojów. Tłumu takiego jak w tym roku nie było chyba od ładnych paru lat, kolejka wchodzących sięgała aż po łącznik między budynkami, zahaczając po drodze o dwa bary.



Przy rykach publiczności konkurs strojów rozwalili wspomniany już Maciek G., przebrany za kogoś na czarno. Zbierając najwięcej "punktów-Ssij" zdobył nagrodę publiczności oraz I miejsce (ex -aequo z Postapokaliptycznym Szamanem nieznanego imienia); za karę Maciek musi katować organizm na przyszłorocznym Nordconie. Emocje fandomu szybko opadły, bo wszyscy czekali na zwiastun filmu *Zemsta Hutnika Planu9*. Ten drastyczny dramat to rekonstrukcja tragicznych wydarzeń z Nordconu 2006 – mamy nadzieję, że film przyczyni się do wykrycia sprawców tajemniczych morderstw będących jego tematem. Zwiastun trwał tylko 10 minut, twórcy zapowiedzieli rychły pokaz całej produkcji, zaraz po premierze *Wiedźmina i Miasta Umarłych*. Potem była okazja obejrzenia sporego fragmentu *Stars in Black* (o tym specyficznym filmie napiszemy więcej w jego recenzji po kinowej premierze, czyli pewnie długo po premierze *Zemsty Hutnika-Final Cut*).

Po atrakcjach filmowych wrócono do zamykania konwentu. Odbył się sąd na jakimś nieszczęśniku, który skosztował świni, czego zabraniał regulamin enklawy. Rozstrzelano i jego i dwóch z sędziów, którzy również świni skosztowali.

Rozkosze zamykania konwentu zepsuł niestety mały chaos przy wydawaniu nagród, ale nic złego, co by na dobre nie wyszło. W całym tym bałaganie koordynatorka Tandi zapomniała zamknąć oficjalnie con (podobnie zresztą jak kiedyś Papier diunowy Nordcon 2004). Oznacza to, iż oba konwenty trwają do dziś – fajnie. Potem pozostało już tylko się upić.

I to tyle, Nordcon był w dechę, ja tam byłem, spałem pod i na barze.

Wasz, pogrążony w pokonwentowej dolinie

Lord New`Age

I do zobaczenia na Pyrkonie!

Ciekawostka przyrodnicza: W przeciwieństwie do innych stron tego typu, strona internetowa Nordconu jest cały czas aktualizowana. Możemy się tam dowiedzieć, że niejaki H., idąc w ślady Dudy, został w Drejku aż do poniedziałku. Salut!

www.zakazanaplaneta.pl

Wszystkie foty by Lord Darth Watson

KALENDARIUM IMPREZ FANDOMU A.D. 2008

styczeń	25-27	Zimowe Paradoxalia, Warszawa
luty	8-10	Manticora 2008, Lubartów k. Lublina
	16	Toruńskie Popołudnie z Fantastyką ed.IV
	23-24	Dni Fantastyki, Lublin
marzec	14-16	R-kon 2008, Rzeszów
	28-30	Pyrkon, Poznań, Druga Era
kwiecień	11-13	TrójKONt, Trójmiasto
	18-20	Grojkon 2008, Żywiec
maj	22-25	Seminarium Literackie (Dzieła kultowe), Chorzów
	22-25	Fantazjada 2008, Srebrna Góra
	?	Porytkon II, Sosnowiec
czerwiec	12-15	Festiwal Fantastyki, Nidzica
	?	Fort 2008, Rogów i okolice
lipiec	4-6	Avangarda 2008, Warszawa
	14-20	SeaCon 2008, rejs Gdynia-Rønne (Bornholm)-Kalmar (Szwecja) -Visby (Gotlandia)-Gdynia
	19-20	Funekai 2008, Łódź
	?	Orkon
lipiec 19 – sierpień 3		Piknik Na Skraju Drogi, Cerkiewnik
sierpień	1-3	Animastur, Warszawa
	28-31	Polcon, Zielona Góra
wrzesień	12-14	Festiwal Fantastyki Zahcon 2008, Toruń
październik	11-12	Niucon, Wrocław
listopad	14-16	Falcon, Lublin
	?	Szczecińskie Dni Fantastyki IV
grudzień	3-7	Nordcon 2008, Jastrzębia Góra



ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

druga połowa stycznia i luty

PRZYWOŁANIE SMOKÓW (CALLING ON DRAGONS) – PATRICIA C. WREDE

Wydawca: **ISA**

SMOK Z NIGDYLANDII (THE DRAGON OF NEVER-WAS) – ANN DOWNER

Wydawca: **ISA**

MISERY (MISERY) – STEPHEN KING

Wydawca: **Prószyński i S-ka**. Wznowienie

CUJO (CUJO) – STEPHEN KING

Wydawca: **Prószyński i S-ka**. Wznowienie

CYLINDER VAN TROFFA – JANUSZ A. ZAJDEL. Wznowienie

Wydawca: **superNOWA**

SMOCZE WERBLE (DRAGONDRUMS) – ANNE McCAFFREY

Wydawca: **Książnica**. Wznowienie

PIEŚŃ DLA ARBONNE (SONG FOR ARBONNE) – GUY GAVRIEL KAY

Wydawca: **MAG**

DOM BURZ (THE HOUSE OF STORMS) – IAN R. MACLEOD

Wydawca: **MAG**

KOŃ WODNY. LEGENDA GŁĘBIN (THE WATER HORSE) – DICK KING-SMITH

Wydawca: **MAG**

DŹIHAD BUTLERIAŃSKI (THE BUTLERIAN JIHAD) – BRIAN HERBERT, KEVIN J. ANDERSON

Wydawca: **Rebis** Wydanie w opracowaniu graficznym Wojciecha Siudmaka.

MERRICK (MERRICK) – ANNE RICE

Wydawca: **Rebis**

WROTA TOM 2 – MILENA WÓJTOWICZ

Wydawca: **Fabryka słów**

RAGNAROK TOM 2 – MARCIN MORTKA

Wydawca: **Fabryka słów**

TRZĘSIENIE ZIEMI – KIR BUŁYCZOW

Wydawca: **Solaris**

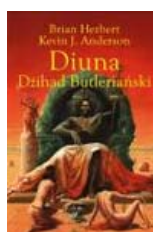
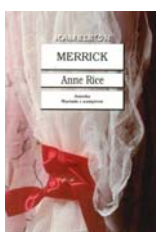
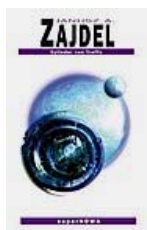
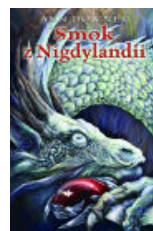
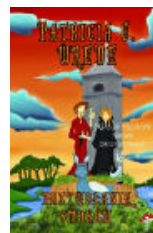
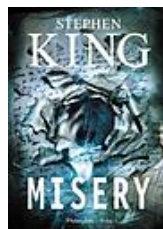
KRAWĘDŹ ŻELAZA TOM 2 – ŽAMBOCH MIROSLAV

Wydawca: **Fabryka słów**

JANE'S ROK 1906 PD RYAL MANTICORIAN NAVY – DAVID WEBER, KEN BUNSIDE, THOMAS POPE

Wydawca: **Rebis**

W pełni kolorowe opracowanie, wzorowane na roczniku floty Jane`s, zawiera same "fakty" dotyczące Królewskiej Marynarki, zaczynając od danych astrograficznych systemu Manticore, poprzez strukturę RMN, jej mundury i stopnie, karierę Honor Harrington aż do rysunków taktyczno-technicznych okrętów poszczególnych klas omówionych na przykładzie najsłynniejszych jednostek znanych z cyklu „Honor Harrington”. Osobno omówiony jest także Royal Manticoran Marine Corps wraz z uzbrojeniem osobistym i promami szturmowymi.



Opracował

Janusz Piszczek

NIUSY

EUROPEJSKIE NAGRODY FILMOWE '2007

Film: „4 miesiące, 3 tygodnie i 2 dni”; reżyser: Cristian Mungiu („4 miesiące, 3 tygodnie i 2 dni”); aktorka: Helen Mirren („Królowa”); aktor: Sasson Gabai („Wizyta orkiestry”); scenarzysta: Fatih Akin („Na krawędzi nieba”); operator: Frank Griebe („Pachnidło”); kompozytor: Alexandre Desplat („Królowa”); Prix d'Excellence Europejskiej Akademii Filmowej: Uli Hanisch (za scenografię do „Pachnidła”).

jpp



WSZYSCY MOŻEMY BYĆ Z MARSA?



„Na Ziemi mogą istnieć obce organizmy” – twierdzą naukowcy, którzy wysłali w przestrzeń kosmiczną mikroskopijne formy życia i sprowadzili je z powrotem na sztucznym meteorycie. Doczepili oni kawałek skały wielkości piłki baseballowej do zewnętrznej części statku kosmicznego Foton M3. Skała pochodziła ze szkockiej wyspy Orkney i zawierała sporą ilość mikrobów. Statek wylądował w Kazachstanie 26 września, po dwunastu dniach krążenia po orbicie ziemskiej. „Niektóre biologiczne formy życia przetrwały tą wycieczkę” – powiedział szef projektu John Parnell z Uniwersytetu w Aberdeen (Szkocja). Wstępne badania sugerują, że

pojedyncze organizmy mogłyby się dostać na Ziemię dzięki meteorytom i przetrwać wysoką temperaturę podczas wchodzenia w atmosferę. Skała musi być jednak odpowiednich rozmiarów: nie może być ani za mała, ani za duża. Zdaniem naukowców może to być kolejny dowód na poparcie teorii panspermii.

wg: www.gildia.com

PATRON ZOBOWIĄZUJE!

Przemysław Bienias, uczeń łódzkiego I LO im. Mikołaja Kopernika, zdobył złoty medal na, organizowanej po raz pierwszy, międzynarodowej olimpiadzie astronomicznej w Tajlandii.

jpp

OBY POZOSTALI TRYLOGIĄ!



Keira Knightley oświadczyła publicznie, iż nie jest zainteresowana udziałem w ewentualnej realizacji kolejnej części „Piratów z Karaibów”. Aktorka dodała jednocześnie, iż realizacja pirackiej trylogii była dla niej niezapomnianym przeżyciem.

jpp

ŚWIĄTECZNA PRZEDPREMIERA „AVP2”

Od pierwszego dnia świąt w trójmiejskich kinopleksach oglądać można było kontynuację zmagania Obcych z Predatorami (że o Predalenię nie wspomnę...).

jpp

DUBELTOWA ZACHĘTA DO KUPNA POLSKIEGO HITU

Od połowy grudnia dostępne jest dla niezdecydowanych demo multimedialnej gry „Wiedźmin” – najpierw pojawiło się jako dodatek do „Gazety Wyborczej”, a następnie trafiło oficjalnie do internetu.

jpp

CZWARTA BLIŻEJ TRZECIEJ

W grudniu, a nawet jeszcze w początkach stycznia, astronomowie i amatorzy mieli świetne warunki do obserwacji Marsa. Jest zresztą najbliższą nam planetą zewnętrzną. Krąży po eliptycznej orbicie o wielkiej półosi wynoszącej 228 mln km, a jego odległość od Ziemi zmienia się od niespełna 56 do ponad 400 mln kilometrów. Przez to rozmiary tarczy Czerwonej Planety zmieniają się od 25 do 4 sekund luku, a jej jasność od -3 do 1.5 magnitudo (co oznacza, że planeta w maksimum blasku jest 15 razy jaśniejsza od najjaśniejszych gwiazd na niebie, a w minimum jest od nich 4 razy słabsza). Podczas Wielkich Opozycji - kiedy zbliża się do nas na dystans niespełna 56 mln km – Czerwona Planeta świeci z maksymalną jasnością, a duże rozmiary kątowe pozwalają na obserwacje szczegółów jej powierzchni. Ostatnio najbliżej Ziemi (w odległości 55.758 mln km) Mars znajdował się 27 sierpnia 2003 roku – i była to wyjątkowo korzystna opozycja. Na następną tak dobrą przyjdzie nam czekać do roku 2287. Oprócz wielkich opozycji, co dwa lata, zdarzają się jednak opozycje zwykłe. Jedna z nich występuje właśnie teraz. Do największego zbliżenia obu planet doszło o północy z 18 na 19 grudnia, kiedy to dzielił je dystans 88.158 milionów kilometrów. Średnica tarczy Czerwonej Planety sięgnęła wtedy 15 sekund, co pozwoliło na podziwianie szczegółów jej powierzchni nawet przez amatorskie teleskopy o niewielkich rozmiarach.

wg: www.gildia.pl

BESSON NIE TYLKO DLA DZIECI

W okresie między mikołajkami a wigilią jeden kodowanych kanałów telewizyjnych zaprezentował aktorsko-animowany film Luca Bessona „Artur i Minimki” (z 2006 roku).



Mało znaną ciekawostką związaną z tym filmem jest fakt, iż reżyser autorsko udźwiękował go w dwóch wersjach: frankofońskiej i anglojęzycznej. W tej rodzimej – jednej z kukielkowych postaci głosu użyczyła gwiazda francuskiej piosenki Mylene Farmer (dla której Besson zrealizował dobrych kilka lat wcześniej szalony teledysk do piosenki „Que mon coeur lâche”); w wersji eksportowej – tęże samą bohaterkę zdubbin-gowała Madonna.

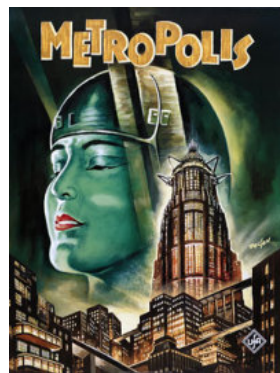
jpp



NOWE „METROPOLIS”?

Thomas Schuehly (jeden z producentów „Przygód barona Munchausena” i „Imienia róży”) oraz Mario Kassar (producent „Terminatora 3”) planują realizację remake’u słynnego klasyka kina niemego – „Metropolis” Fritza Langa. Obecnie, w tej sprawie właśnie, prowadzą oni rozmowy z kilkoma znanymi reżyserami. Futurystyczno-antyutopijny obraz jednego z mistrzów filmowego ekspresjonizmu fascynował zresztą zawsze: stał się inspiracją jednego z teledysków Queen i wizji miasta przyszłości w „Piątym elemencie” Bessona oraz doczekał się odnowionej kopii, z nowym podkładem dźwiękowym.

jpp



KOLEJNY WEJHEROWSKI WARHAMMER

W pierwszy weekend grudnia odbył się w WCK turniej Warhammera; jak zwykle zorganizowany przez tamtejszy klub gier bitewnych „Draconis”. Zwyciężył Karol Piotrowicz, drugie miejsce zajęł Wojciech Łubkowski, trzecie – Jacek Grotha.

jpp

PUDEŁKO Z „BUTAMI”



„Buty” (tekst i rysunki Aleksandra Spanowicz) – komiks inspirowany Leśmianem; był pracą dyplomową ówczesnej Aleksandry Czubek, obronioną w roku 1995 na Wydziale Malarstwa, Grafiki i Rzeźby poznańskiej Akademii Sztuk Pięknych. Od prezentacji podczas łódzkiego Międzynarodowego Festiwalu Komiksu zdążył obrosnąć

„w środowisku” prawdziwą legendą. Wydany został ostatnio przez oficynę Timof i cisi współpracownicy, a dostępny jest w empikach (oraz w księgarniach komiksowych). Tłoczone kartonowe pudełko, 57 stron, kolor.

jpp

WRESZCIE BĘDZIE FILMOWY – I TO DWUCZEŚCIOWY (?) – „HOBBIT”

MGM, New Line Cinema i Peter Jackson osiągnęli porozumienie w sprawie realizacji adaptacji powieści J.R.R. Tolkiena „Hobbit”. W wydanym wspólnie oświadczeniu strony poinformowały, iż ekranizacja składać się będzie z dwóch części, które zrealizowane zostaną jednocześnie. Premiery filmów zaplanowano odpowiednio na 2010 i 2011 rok. Jackson będzie jednym z producentów filmu, zaś kwestia reżyserii na dziś dzień pozostaje otwarta. W producenckiej ekipie znalazła się ponadto Fran Walsh, która pracowała już z Jacksonem przy „Władcy Pierścieni”.

wg: www.gildia.pl

JAKUB WĘDROWYCZ POWRACA DO KSIĘGARŃ



Na księgarskich półkach pojawił się ponownie Jakub Wędrawycz, a dokładniej pierwsze cztery tomy najpopularniejszego cyklu Andrzeja Pilipiuka zatytułowane: „Kroniki Jakuba Wędrawycza”, „Czarownik Iwanow”, „Weźmiesz czarno kure...” i „Zagadka Kuby Rozpruwacza”. Wszystkie posiadają odświeżone i ujednolicone okładki, ilustracje Andrzeja Łaski oraz potężną dawkę humoru.

wg: www.gildia.pl

GRYWAŁ U COPPOLI, LUCASA, SPIELBERGA, WEIRA, POLAŃSKIEGO...

Dnia 5 lutego 2008 r. 65-letni Harrison Ford odbierze nagrodę za osiągnięcia życia – przyznaną mu przez Międzynarodową Gildię Operatorów Filmowych.

jpp



KRAKOWSKA UCZELNIA UHONORUJE AUTORA „LISTY SCHIDLERA”

Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego uchwalił w grudniu rozpoczęcie postępowania nadania godności doktora honoris causa Stevenowi Spielbergowi. W gronie doktorów honoris causa UJ świat kultury i sztuki reprezentują już m.in. Andrzej Wajda, Sławomir Mrożek, Czesław Miłosz, Krzysztof Penderecki, Stanisław Lem i Karol Szymanowski.

wg: www.gazeta.pl

HD DVD VS. BLUE-RAY

Ciągle trwa bój między wymienionymi wyżej systemami odtwarzania obrazu wysokiej jakości. Gros potencjalnych klientów wciąż czeka na wynik, zadawalając się tradycyjnym DVD (czy wręcz VHS); nawet hollywoodzkie wytwórnie się „spolaryzowały” (część wypuszcza do sklepów swe filmy wyłącznie na HD DVD, część – wyłącznie w systemie blue-ray). Ktoś kogoś wyprze z rynku (jak swego czasu zwyciężyły kasety systemu VHS) lub też rozsądnym kompromisem okażą się dwusystemowe odtwarzacze (bo od coraz bliższego upowszechnienia się telewizyjnego obrazu wysokiej jakości – na pewno nie uciekniemy).

jpp



JERZY KAWALEROWICZ NIE ŻYJE

W wieku 85 lat zmarł jeden z najwybitniejszych polskich reżyserów filmowych – autor m.in. „Matki Joanny od Aniołów”, „Faraona”, „Śmierci prezidenta”, „Austerii”.

jpp

CHOCHLIK, GATES I BIUST

Chochlik, wzmocniony przez „poprawiaczowe” oprogramowanie słowa, poszalał sobie nieco w poprzednim numerze „Informatora”. W jednym z niusów (o przymiarkach do remake’u „Ucieczki z Nowego Jorku”) Snake’a przerobił na sake (bardziej na miejscu byłaby raczej wężówka), a we wprowadzeniu do recenzji najnowszego filmu Tarantino („Death Proof”) pojawił jakiś profesor („Prof”); natomiast przy prezentacji dwóch plansz prequela „Wampirów” zabrzmiało echo starej bajki o udach i piersiach (gdyż udało się nam to, że jako „piersi” opublikowaliśmy kawałek tego komiksu). Prosimy o wyrozumiałość!

Redakcja

W TYGLU ABSURDU, CZYLI O UPRAWIANIU NAUKI

Honorata Korpikiewicz-And
Akademia Absurdu
„Fantastyka” 1990, nr 2, s. 53



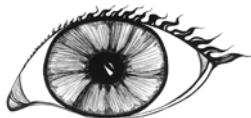
Dla uzyskania zamierzonego efektu twórcy groteski fantastycznonaukowej – traktowanej jako próba przezwyciężenia stereotypowości konwencjonalnej *science fiction* – często sięgają do poetyki karykatury, demitologizując niedysyjsze wartości. Za taką zaś można w literaturze fantastycznonaukowej uznać naukę.

Oczywiście refleksja nad technicyzacją życia i miejscem, jakie w tym procesie pełni nauka, nie jest nowa i charakterystyczna jedynie dla groteski. Jako przykład powieści rozważającej status nauki można przywołać *Głos Pana* Stanisława Lema. Niejako *implicite* odwołuje się do tego utworu Honorata Korpikiewicz-And w miniaturze pt. *Akademia Absudu*.

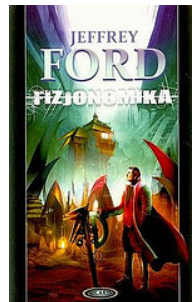
Akcja humoreski toczy się – podobnie jak powieści Lema – w środowisku naukowców, pracowników bliżej nieokreślonego instytutu. Jeden z bohaterów, Zeix, *chciał dotrzeć do granic poznania (...). Zamiast pracowicie zliczać, on chciał sięgnąć w głąb najdalej jak tylko można* (s. 53). Udało mu się zgłębić budowę najmniejszej cząstki materii (zwanej w utworze kwintosem), w której odnalazł ledwo zauważalny napis *made in Demiurg*. Odkrywca nie mógł jednak kontynuować badań, ponieważ został zwolniony z pracy za brak osiągnięć naukowych.

Utwór Korpikiewicz-And nie niesie z sobą – przeciwnie niż *Głos Pana* – poważnej refleksji. To humoreska, w której najważniejsza, niczym w dowcipie, jest puenta. Utwór ten można *de facto* traktować jako swoisty przejaw humoru fantastycznonaukowego, za czym przemawiałaby jego poetyka, tj. gra sensu i bezsensu, zaskoczenie odbiorcy, wynikające z kontrastu między zapowiedzią a ostatecznym rozwiązaniem. Jednakże nawet przy założeniu, że czytelnik *Akademii Absurdu* ma do czynienia z zabawą literacką, miniatura Korpikiewicz-And pozostaje świadectwem trywializacji poruszanych kwestii. Szkoda to tym większa, że środowisko naukowców nie bywało dotąd zbyt częstym gościem na kartach fantastyki groteskowej (oprócz cyklu Lema *Ze wspomnień Ijona Tichego* wypadnie przypomnieć jedynie przedwojenne satyry Brunona Winawera). Tymczasem dobrze byłoby móc przejrzeć się w krzywym zwierciadle groteski – już choćby po to, by móc nabrać zdrowego dystansu do własnej pracy. O to jednak w tych kręgach trudno, o czym świadczą kłopoty organizatorów konkursu na najbardziej bezsensowną pracę naukową, z dostarczeniem dorocznej nagrody Ig-Nobla (Antynobla) jej laureatowi, mimo iż ideą tych nagród jest popularyzowanie nauki i pokazanie zabawnych aspektów pracy naukowca, zaś nagradzane prace mają najczęściej faktyczną wartość naukową i ich zabawność jest jedynie dodatkowym atutem.

Adam Mazurkiewicz



Dobrze Skonstruowany Sukisyn



Jeffrey Ford jakoś do tej pory nie miał szczęścia do polskiego rynku. Poza okazjonalnie publikowanymi opowiadaniem, zwłaszcza w ostatnim okresie, jego dłuższa twórczość nie mogła się przebić, ale w końcu się udało. W niepozabawionej wad **“Fizjonomice”** Ford pokazuje, że dysponuje niezwykle prężnym i rzadkim zasobem – fenomenalną plastycznością języka, dzięki której książka zyskuje najwięcej. Bo pozostałe elementy są już dyskusyjne.

Najlepsza w tej krótkiej, bo 250-stronicowej powieści jest pierwsza tercja – kiedy po raz pierwszy stykamy się z głównym bohaterem **“Fizjonomiki”**, Fizjonomistą Klasy Pierwszej, Cleyem. To co w nim przyciąga najbardziej, to, podobnie jak u Thomasa Covenanta, zwykle sukisynstwo. Cley to zadziwiające połączenie człowieka, który teoretycznie poświęcił swoje życie nauce (jeśli fizjonomika taką może być nazywana bez zastosowania przedrostka para-), ze skrajnym sukisynem, którego pseudonaukowe rozważania i głęboki cynizm decydują o życiu i śmierci mieszkańców Dobrze Skonstruowanego Miasta i rubieży. Głęboka wiara w prawdziwość fizjonomicznych teorii poddana zostaje na granicach krainy ciężkiej próbie, z której narkoman Cley wychodzi na tarczy. To co w nim najciekawsze, czyli cynizm, a wręcz pogarda dla innych przedstawicieli rodzaju ludzkiego, stopniowo zanika. Chcąc niechcąc, Cley poznaje prawdziwe oblicze swojego mistrza, Drachtona Nadolnego, w którego umyśle zrodziło się Dobrze Skonstruowane Miasto, jak i zapewne reszta enigmatycznej krainy – i wie dzia ta, wraz z wyznaczoną przez Mistrza karą, prowadzi Cleya ku odkupieniu.

Tu niestety zaczynają się problemy, bo wyrazistość tej postaci, choć bez wątplenia kontrowersyjna, ulega rozmyciu. Staje się on kolejnym bohaterem literackim, któremu przeznaczone jest poszukiwanie odkupienia swoich win, co też w jakimś sensie pewnie nastąpi. Mój problem z taką koleją rzeczy polega na tym, że od rozwiązań dalekich od sztampy Ford bardzo szybko przechodzi do przeciętności, czy może bylejałości w prowadzeniu postaci. Bardzo mnie to, jako czytelnika, uwiera, bo w tle przemiany Cleya przesuwają się widowiskowo, choć niezwykle oszczędnie opisana magiczna kraina. Nieważne, czy są to Zarubieże, czy karna kopalnia siarki, czy też samo Dobrze Skonstruowane Miasto, każdy z tych elementów podany jest w plastyczny, buchający wyobraźnię sposób (momentami niezwykle przywodzący na myśl **“Ogród rozkoszy ziemskich”** Boscha), a przy tym napisane to wszystko jest bardzo oszczędnie, wszak całość ma niewiele, jak na współczesne standardy fantasy, stron. Bo Ford to taki pisarz, który więcej każe się czytelnikowi domyślić niż podaje wprost na tacy, co z jednej strony jest niewątpliwą zaletą, ale z drugiej powstrzymuje od zagłębienia się w treść powieści, jakbym się ślizgał po powierzchni.

Problem **“Fizjonomiki”** tkwi jeszcze w jednym, oprócz nieznośnej przemiany Cleya. To według mnie niespójność, polegająca na przejściu od niepokojącego zła tkwiącego w głównym bohaterze, aż do odkupienia przez niego grzechów, ocierająca się momentami o zupełnie niezrozumiałe, w kontekście całości, fragmenty graniczące z pastiszem, jak choćby wszechobecni w Dobrze Skonstruowanym Mieście rewolucjoniści.

Mam w stosunku do tej książki ambiwalentne uczucia, bo będąc zauroczonym językiem autora, jestem do niej uprzedzony przez wykorzystywane przez niego motywy, jak choćby wspomniane już kilkakrotnie odkupienie. Tym niemniej to na swój sposób hipnotyzująca lektura, daleka od doskonałości, ale warta przeczytania.

Maciej Majewski

www.maciejmajewski.pl

[tytuł od redakcji]

[od naczelnego:

z redakcją „Zakazanej Planety” zgadałem się niestety dosyć późno, więc nie ukazały się w „Informatorze” recenzje kilku głośnych nowości mijającego roku; ale staramy się być już teraz na bieżąco – oraz niezmiennie liczymy na recenzje filmowe także od członków GKF...]



STARCIE KOSMICZNYCH (NIE) PRZYJEMNIACZKÓW – RUNDA DRUGA

Tytuł: „Alien vs. Predator 2”/”Obcy kontra Predator 2”

Produkcja: USA, 2007 r.

Gatunek: Horror/SF

Dyrekcja: Bracia Colin i Greg Strause

Za udział wzięli: Głównie znani z telewizora – m.in. John Ortiz, Reiko Aylesworth, Johnny Lewis, Steven Pasquale

O co chodzi: Najazd kosmitów na spokojną amerykańską prowincję.

Jakie to jest: Doczekaliśmy się wspaniałych czasów: otóż 18 grudnia w Warszawie miał miejsce specjalny, przedpremierowy pokaz filmu „AVP Requiem”, aka „AVP2” – pierwszy i jak na razie jedyny na świecie (!). Podobno nawet krytycy nie zobaczą tego filmu przed innymi. Jako fan Obcego zrobiłem wszystko, aby być na miejscu i zdać raport.

No i mamy!

Trzy lata po ukazaniu się „osiągnięcia”, jakim było „AVP”, Fox postanowił dać szansę Braciom Strause na wyreżyserowanie *sequela*.

Akcja filmu rozpoczyna się w miejscu, w którym skończył się „AVP”. Z ciała Scara wychodzi Predalien, który znalazł sobie kryjówkę na statku Predów i teraz oczekuje na swoją okazję. Ta nadarza się bardzo szybko – i Obcy dokonuje masakry na pokładzie. W wyniku walki zostaje uszkodzony statek, który spada na Ziemię. Całe zdarzenie jest obserwowane przez Predatora Wolfa (lidera klanu?) [króla? – Cmdr JJA], który postanawia odwiedzić naszą planetę.



W tym roku mija 19 lat od dnia, gdy po raz pierwszy zobaczyłem „Obcych” w kinie. To niezapomniane przeżycie miało na mnie ogromny wpływ. Nie zamierzam tutaj wymieniać wszystkich zalet tego filmu, ale wszyscy dobrze wiecie, że nie ma wielu pozycji, które by mu dorównały. „Predator” był dla mnie natomiast filmem, który potwierdzał zdolność Fabryki Snów do wykreowania wspaniałych, przerażających światów – a sama forma podania ich widzowi była urzekająca.

Ostatnio pojawiły się próby wskrzeszenia dziedzictwa lat 80. Sama idea AVP zrodzona w komiksie Norwooda była jak najbardziej inspirująca. Zmagania obu gatunków na Ryushi – gdzie zobaczyliśmy świat przyszłości z kolonistami (domena Aliena), wystylizowany na ziemski (domena Predatora) Teksas (ranczerzy itp.) – udowodniły, iż połączenie obu światów jest jak najbardziej możliwe. Wystarczy odpowiedni ludzie z dobrymi pomysłami.

Dark Horse długo jeszcze podtrzymywał ten trend. Ale gdy wytwórnia Fox postanowiła zabrać się za zarabianie na sukcesie licencji, wszystko poszło nie tak jak powinno. Zaczniemy od podstawy – czyli...

Scenariusz

„AVP2”, podobnie jak jego „znamienity” poprzednik, ma problemy z dwoma założeniami składającymi się na konstrukcję świata przedstawionego. Akcja filmu toczy się na Ziemi, w naszych czasach. W takie oto środowisko próbuje się na siłę wpasować Obcego. To trudne zadanie, gdyż fabuła koncentruje się na masakrze mieszkańców małego miasteczka. Obcy usunięci ze swojego stylizowanego na mroczny gotyk świata stają się... kolejnymi kosmicznymi potworami, jakich w popkulturze pełno. Predator nie radzi sobie lepiej. Brak równikowej czy betonowej dżungli odbiera mu godność potężnego łowcy.



Jim Davis, producent „Predatora” oraz „AVP”, postanowił faworyzować swojego drapieżnego pupila i zmusił Shane’a Salerno abyisał scenariusze opowiadające o konfrontacji niezemskich istot na... Ziemi. Efekt – jest dość smutny. Małe miasteczko w żadnym wypadku nie nadaje się na arenę zmagania między obcymi

istotami – jest nie do zestawienia chociażby z Ryushi: kolorowe domki, pizzeria, pływalnia. Samo rozplanowanie poszczególnych lokacji wydaje się przypadkowe, a umieszczenie w nich Obcego i łowcy jest pozbawione kontekstu. Aby ukryć dość oczywistą kompromitację – poszczególne akty scenariusza zostały dość prymitywnie zmodyfikowane. Obcego jako takiego nigdy nie zobaczymy za dnia: w pierwszym akcie umieszczono ich w kanałach; i dopiero w nocy, gdy jest ciemno, Obcy wyjdą na powierzchnię, aby wziąć w posiadanie Gunnison.

Tutaj natrafiamy na zasadniczy problem. Kolejny raz twórcy nie podołali arcyważnemu zadaniu – rozplanowaniu akcji tak, aby w interesujący (a nie chaotyczny) sposób przedstawić zmagania trzech gatunków. Jak już pisałem: małe miasteczko w USA nie pomaga uatrakcyjnić podobnych zmagania. Dochodzi do tego niepewny status samego Predatora, którego motywacji do końca nie poznamy (łowy na Obcych, polowanie na Predaliena, czy... próba niedopuszczenia do opanowania Ziemi przez kosmitów?). Kiedy dochodzi do zasadniczego zwrotu akcji i krwawej konfrontacji – wszystko to, co zostało wypracowane w pierwszym akcie powinno, procentować, ale...

Do tego czasu obserwujemy prezentację naszkicowanych na kolanie postaci. Możecie zapomnieć o jakiegokolwiek głębi – „wieśniakom” przeznaczono los pokarmu dla Obcych, tylko wybrani mieli ocalać. Salerno/Strause wyszli z założenia, jakie przyświecało twórcom „Obcego” i „Obcych”: nikt się nie wychyla – nie wiadomo, kto przeżyje. Problem polega jedynie na tym, iż w poprzednich filmach postarano się o wykreowanie ciekawych cech charakteru i zachowania, które miały utrudnić/ułatwić/uatrakcyjnić konfrontację z Obcymi. Czogoś takiego w „AVP2” nie ma. Postacie są jednowymiarowe – i ani przez chwilę nie zależy nam na ich losie. Nie obeszło się również bez nawiązań: twarda matka (która jeździ Bojowym Wozem Piechoty), jej kilkuletnia córka (widząca potwory, których podobno nie ma) itd. A więc gdy dochodzi do utworzenia grupy – możemy się spodziewać ich losu w odniesieniu do postaci, na których bazują. I nie zostajemy pod tym względem niczym zaskoczeni.



Podsumowując – jest to scenariusz na poziomie Andersonowskiego: amatorszczyzna, którą poprawiały dziesiątki po autorze (co i tak nie zmieniło ogólnego wyźwięku).

Reżyseria

Bracia Strause debiutują. Z reklamówek zostają wrzuceni do filmu pełnometrażowego, w którym większość widzów pokłada wielkie nadzieje. Dostają oni do rąk naprawdę kiepski scenariusz – i musieliby okazać się geniuszami na miarę Camerona, aby opracować atrakcyjną interpretację wypocin Salerno.



Ale jak to mawiał Konfucusz? „Nie wyciśniesz krwi z rzepy”. Ja, w przeciwieństwie do wielu, nie mam pretensji do Finchera – „Obcy 3” oraz wpadki w tym filmie są winą tylko i wyłącznie Gilera, który dosyłał materiał faksem. Jednak od strony wizualnej trzeci „Obcy” jest najpiękniejszym filmem w sadze. Jak zatem wygląda od tej strony „AVP2”?

Nijak. Bracia nie opracowali żadnego (przynajmniej rozpoznawalnego) stylu. Większa część filmu rozgrywa się podczas decydującej nocy. Mrok i kiepskie warunki atmosferyczne (deszcz) nie budują napięcia. Do tego dochodzą dość kiepsko zaprezentowani Obcy. Żeby tylko zaprezentowani – przede wszystkim źle zaprojektowani! Ich aparycja, którą przyszykowali „spece” z ADI, pozostawia wiele do życzenia. Ujęto ich też nieszczególnie – czają się w mroku, źle oświetleni (a nie klimatycznie, jak być powinni). Pred wypada tu nieco lepiej, ale może dlatego, iż zazwyczaj poluje on za dnia – mrok w tym wypadku stanowiłby kamuflaż. Chociaż trudno mi powiedzieć, czy to jakiś większy pozytywny – gdyż ogólnie, pod względem wizualnym, ten film to popcornowa popelina.

Szkrewiona wizja przekłada się na kiepskiej jakości konfrontację Drapieżcy z Obcymi (wliczając w to też Predaliena). Kwasokrwisty syczą gdzieś w mroku, wyskakują nijak (czasami nie wiadomo skąd), a Predator siecze te przerośnięte robaki. To znowu NIJAK się ma do budowania napięcia. Od samego początku wiemy, iż finałem będzie pojedynek Preda z Predalienem. Do tego czasu obaj będą na chodzie (a nam będzie się wmawiać, jacy to oni twardzi i okrutni!).

Tutaj dochodzimy do prawdziwej bolączki tego filmu. Nie zrozumcie mnie źle, łowca w „AVP2” jest zaprojektowany i zaprezentowany znacznie, lepiej niż ta banda koksarzy w „AVP”. Problem polega jedynie na tym, iż bracia Strause wyraźnie się silili na powrót do korzeni. Pred okrutny dla ludzi – pomysł godny pochwały, gdyby za zamiarami szła konsekwencja. Wolf zabija w tym filmie jednego człowieka na początku i ze skóry go obtłupia. Tylko że następne ofiary są wykańczane albo przypadkowo, albo tak, że jego okrucieństwo jest... minimalne i znów – przypadkowe. Z pewnością fakt użycia krwi typu CGI tutaj nie pomaga.

Szczerze mówiąc film dużo przez to traci. Gore w tym filmie zostało wyjątkowo nieudolnie wkomponowane, krew komputerowa nijak się ma do rzeczywistej. Bracia Strause korzystają tu z doświadczenia pokoleniowego, które krew sączyło z ekranu monitora, ale niestety to nie robi wrażenia. Jednak bracia idą dalej i stawiają na walor SZOKU. Poszczególne sceny (takie jak *chestbursting* małego chłopca, zapładnianie mających rodzici ciężarnych kobiet itp.) mają być wyraźnym sygnałem do widza – „Nie jesteście Andersonem”. Nie jesteście, chłopaki – ale to nie powód, żeby robić to w sposób tak nieprzemysłany! Poszczególne sceny *gore* nie mają tego waloru, co w pierwszym „Obcym” (Kane i jego „synek”). Tam to pasowało oraz miało wpływ na

postrzeganie Obcego – który, jako istota zrodzona we krwi, łaknie jej dalej. U Strause'ów problem polega na tym, iż owe sceny są średnioobrzydliwe, a w paru miejscach wygląda nawet na to, że twórcy się ich przestraszyli.

No i nie możemy zapomnieć o mieszkańcach miasteczka. Jak na film traktujący o zagładzie, którą sprowadzają pozaziemskie istoty, obraz ten wyjątkowo oszczędnie prezentuje nam postępującą apokalipsę. Cały czas śledzimy jedną grupę – tak jakby tylko i wyłącznie ona zamieszkiwała okolice; brakuje tutaj ujęć w planie ogólnym z Obcymi dokonującymi rzezi na ulicach.

Ogólnie...

rzecz biorąc – „AVP2”, podobnie jak film Andersona, zaczyna się kompromitować w drugim akcie. Nie znam się na tym akurat, ale wydaje mi się, że Gwardia Narodowa USA nie przypomina regularnych jednostek wojskowych. Czemu więc do Gunnison zjeżdżają oddziały, które wyglądają, jakby je przerzucono prosto z Bagdadu? Kolejną bolączką są głupoty w odniesieniu do kanonu „Predatora” i „Obcego”. Łowca para się nową profesją i... pozbywa się ciał zarówno potworów, jak i ludzi (nie jest wytłumaczone, czemu!?). Chwyta działko naramienne w garść, przez co z myśliwego staje się tępym zbirem z pukawką. Jego bezpośrednia konfrontacja z Obcymi też zaczyna zyskiwać kuriozalny wymiar: w ruch idą pięści, stopy i bary. Nie ustrzegł się i Obcy. Anderson namieszał z cyklem rozrodczym, a bracia chcą nam wmówić, iż kosmici potrafią wybudować korytarze swego gniazda w przeciągu kilku godzin.

Film zaczyna się bujać między „AVP” a „Freddy vs. Jason”, ze wskazaniem na tego pierwszego. O ile obraz Andersona sprawiał wrażenie stonowanego do PG-13, tak „AVP2” przypomina film PG-13 *upgrade'owany* do R. Jednak w obu przypadkach nie zastanowiono się nad konsekwencjami, jakie wynikają z tego typu manipulacji.

Warsztat

Niestety, niedoświadczeni bracia popełnili też błędy jeżeli chodzi o reżyserię scen akcji – np. próby dotarcia do helikoptera na dachu sprowadzają się do strzelania w próżnię. Przyzwyczajenia, jakie Strause'owie wynieśli z pracy przy reklamówkach skutkują w siekany montażu – zwłaszcza podczas pojedynków Predatora z Obcymi.

Na koniec...

...Wam powiem, że finał tego filmu rozczarowuje najbardziej. Zero pomysłu na atrakcyjne rozwiązanie poszczególnych wątków. niesprawiedliwość dotknęła przede wszystkim dwóch głównych antagonistów – to oni stali się centralnymi postaciami tego filmu, a tu ich koniec... okazał się MOCNO ROZCZAROWUJĄCY.

Tak jak cały film.

/www.zakazanaplaneta.pl/

[tytuł od redakcji „Info”]

Ocena (1-5)

Zainfekowane miasto: 3

Obcy: 2

Predator: 3

Efekty: 3

Fajność: 2

Ciekawostka przyrodnicza:

Bracia zamierzają wyreżyserować „AVP3”

– tym razem w Kosmosie.



muzyka = fantastyka = fantazja

NA TROPIE PROSTEGO PIĘKNA



Już nieraz muzyka i słowo spotykały się w tym miejscu przy różnych okazjach. A to przy okazji słowa wpisanego w warstwę muzyczną opery, a to w piosenkach folkowych czy pieśniach klasycznych. Aż pewnego razu, jak to najczęściej ze mną bywa – podczas słuchania muzyki doszedłem do wniosku, że: a) temat jest na tyle ciekawy, b) a samo zagadnienie współistnienia słowa w muzyce na tyle głęboko w niej tkwi, że c) po raz kolejny zaczęło zahaczać o interesującą mnie szeroko rozumianą fantastykę, a po drodze d) odsłoniło kolejny aspekt sprawy.

O Karłowiczu też już kiedyś pisałem. Raz zachwycając się jego mistyczno-muzyczną kontemplacją świata i Tatr w „Odwiecznych pieśniach”, drugi raz przy okazji tatrzańskich utworów Wojciecha Kilara. Tym razem, wracając do muzycznej spuścizny młodopolskiego symfonika, chciałbym poświęcić nieco uwagi, opowiadając o jego pieśniach. Przepięknych i niezwykłych utworach.



Chodziło mi to po głowie już od dawna, nie potrafiłem jednak sprecyzować istoty samego tematu – brakowało mi, by tak rzecz, punktu zaczepienia. Owszem, przez cały czas czułem gdzieś tam głęboko w sobie ich tajemne tętno bijące w każdym takcie, ich sekretny magnetyzm i urzekającą poetyckość, wciąż jednak nie mogłem zrozumieć, o co tu, tak naprawdę, chodzi. Wreszcie, zdesperowany, zadałem sobie pytanie: w czym, u licha, tkwi ich fantastyczna tajemnica? Zabrałem się ponownie do przesłuchania wszystkich dostępnych mi na taśmie kompozycji wokalnych Karłowicza, w tej konkretnej, niezapomnianej interpretacji Andrzeja Hiolskiego. I kiedy ponownie stanąłem wobec ich niepowtarzalnego nastroju, zaskakującej prostoty i finezji formy rozpisanej wyłącznie na głos z fortepianem, coś mi zaczęło świtać w głowie. Nie znalazłem tu bowiem ani śladu jakiegokolwiek zagmatwania czy uduchowienia na siłę, nic, zupełnie nic, jedynie cudowna, urzekająca subtelność, szczerokość i prostota. Jedynie piękna muzyka, z którą twórca pozostawia słuchacza sam na sam.

Poszedłem tym tropem i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że sekret musi tkwić właśnie tutaj. W tym. We wrażliwości niezwykłego kompozytora, z której to wrażliwości niczym kwiaty wyrastają przesycone liryzmem i poezją, bajecznie skrzące się barwami miniaturowe formy muzyczne, całkowicie wyrażające głębię przekazu słownego – w większości tetmajerowskich Preludów.

No tak, ale aby sprawa była dla wszystkich jasna, muszę zacząć, jak to się mówi „od pieca”, czyli od pewnego wątku w biografii kompozytora, który kategorycznie zaważył na jego życiu. Który stworzył go jako artystę.

Mieczysław Karłowicz urodził się w 1876 roku w zamożnej rodzinie szlacheckiej na Litwie (jako ciekawostkę dodam, że był prawnikiem Radziwiłłów). Fakt ten podają jedynie dla porządku, nie ma on bowiem znaczenia dla naszej opowieści. Znaczenie ma natomiast pewna młoda, ładna osobka, zwana w rodzinie Ludką albo Didi*, która była kuzynką kompozytora. Niestety, bardzo bliską. Mówię: niestety, ponieważ oboje młodych zapafało do siebie płomiennym uczuciem, pragnącym znaleźć swoje spełnienie przed ołtarzem. Taka miłość i takie plany nie mogły, rzecz jasna, znaleźć aprobaty w rodzinie, mało tego, spotkały się wręcz z jednoznacznym oburzeniem i odrzuceniem. Karłowicz podporządkował się woli starszych i stłumił w sobie ogień serca, lecz wpływu,

jaki wywarło to wydarzenie na całym życiu dojrzewającego muzyka, nikt nawet nie przeczuwał. Zabita, niemożliwa do spełnienia młoda miłość raz na zawsze rzuciła cień i zdeterminowała niemal całą jego późniejszą twórczość. Jakież silne musiało być to uczucie, pierwsze i jak się z czasem okazało – ostatnie, i jaką traumę przeżył osiemnastoletni artysta, skoro wydała t a k i e świadectwo!

Wydarzenie to obudziło drzemiącego w nim filozofa, dostrojonego do rodzącej się właśnie młodopolskiej myśli, ukształtowało i wydało niepospolitego artystę, który już niebawem, bo za rok, góra dwa, będzie umiał w sposób tak dojrzały połączyć głębię uczuć z głębią refleksji i doskonałym wycuciem muzycznej formy. Narodził się muzyk o duszy filozofa, kompozytor o wrażliwości poety, niezrównany melodyk i subtelny liryk. Wkrótce potem spakował walizki i wyjechał kontynuować studia muzyczne do Berlina.

W roku 1896, już w Berlinie, wpadł mu w ręce słynny drugi tomik Poezji Kazimierza Przerwy-Tetmajera, no... i zaczęło się. Niektórzy badacze twórczości Karłowicza twierdzą nawet, że Tetmajer objawił się ze swą poezją tylko po to, aby kompozytor mógł stworzyć swe niezwykle piękne. Znalazł w nich bowiem to, czego rozdarła dusza i talent przesycony młodopolską estetyką szukały. Znalazł słowa, które idealnie pokrywały się z jego stanem ducha i przemyśleniami. Impresjonistyczne, podszyte filozofią nastrojowe Preludia, to były niejako jego własne myśli, wypowiedziane ustami innego artysty. A co było nie mniej istotne, w wierszach tych miłość i śmierć, mityczne Eros i Thanatos nierozzerwalnie złączone, wyznaczały bieguny życia człowieka, znajdując, a jakże, pełne zrozumienie w duszy kompozytora. Karłowicz zachwyił się tą poezją bez reszty. Wchłonął ją i przetrawił, a odrzucając wszystko co było młodopolską modą, z rozpętanem erotycznej zmysłowości włącznie, skupił się na filozofii i głębi metafory. Siłą rzeczy podążył za Tetmajerem, stając się impresjonistą jak i on, lecz potrafił niespodziewanie odłączyć się. Porzucił go niejako w połowie drogi, by iść już za własnym głosem, który w sobie słyszał: zmieniając np. tonację w finale któregoś z utworów czy też inaczej rozkładając akcenty (pauzy), bądź też całą niezwyklej oprawą dźwiękową nie tylko diametralnie zmieniał charakter utworu, ale wręcz przenosił go w głębsze obszary znaczeniowe, nadając mu nowy sens i nową jakość. Wiódł słuchacza do poznania wiedzy o sensie istnienia, która w każdej chwili mogła okazać się conradowskim „jądrem ciemności”.

Tak jak studenci na studiach często pisują wiersze do szuflady, tak i on szkicował wieczorami swe króciutkie formy muzyczne. Z tą różnicą, że nie szuflada stała się, na nasze szczęście, miejscem ich przeznaczania. Tak powstał ów niezwyklej emocjonalny zapis chwili, ulotne doznania naznaczone dojrzałością rzadko u młodych twórców spotykana; nie wolno nam przecież zapominać, że Karłowicz liczył sobie wówczas zaledwie 20 lat.

Króciutkie, w większości nie przekraczające półtorej minuty czasu trwania utwory, bardziej przypominające szkice w pośpiechu rzucone na nutowy papier, a tak wyraziste i wyrafinowane, zdumiewają. Bo przecież to nie szkice, a skończone i dojrzałe formy, bo przecież to nie wprawki, a perełki liryki wokalne, najlepsze pieśni, jakie napisano w Polsce w okresie między Moniuszką a Szymanowskim.

Tajemnicą ich wielkości często bywa nie tylko zachwycająca siłą lirycznego wyrazu piękna melodia podkreślająca wymowę słów, ale i, co mnie u Karłowicza na równi chyba pociąga – przewrotność i ukryta ironia. Muzyczny cudzysłów, przez swą niejednoznaczność działający z siłą ciosu, podkreślający temperaturę przekazu o sto stopni. O! weźmy chociażby „Rdzawe liście...”. Linia melodyczna płynie tu leciutko, zwiewnie, prawie wesoło; całość poprzedzona dwoma taktami wstępu, zamknięta taką samą kłamrą, a pomiędzy nimi zaledwie pół minuty(!) tekstu. Ale jakiego... Słowa mówią o nietrwałości świata, ulotności życia i bezpowrotnym przemijaniu: „*Rdzawe liście strząsa z drzew / wiatr jesienny i gna precz / poniesione w chłodną dal / nie powrócą nigdy wstecz / żaden z liści nigdy już / nie odrośnie na swym pnium*”. Że też nie wymyślono dotąd grającego papieru! Niestety, póki co, to czysta fantastyka ;), więc nie możemy

posłuchać choćby maleńkiego fragmentu tegoż utworu. Szkoda. Czytelnikom nie pozostaje zatem nic innego, jak uwierzyć mi na słowo i zadowolić się wyłącznie tekstem, brzmienie pieśni pozostawiając grze wyobraźni. Tymczasem całość znika równie nagle jak się pojawiła, rozwiewa się w ciszę, pozostawiając zdeorientowanego słuchacza, który ledwie zdążył się połapać, że to już koniec pieśni i zostaje sam na sam z echem słów, które przed chwilą usłyszał. Wrażenie spotęgowane właśnie tą krótkością trwania, znikomością i lekkością formy, wesołość i beztroska melodii zderzone ze skrajnie pesymistycznym przesłaniem tekstu, oto jeden z kluczy do tajemnicy wielkiego Karłowicza.

Najpełniejszy wyraz i metafizyczne piętno muzyka uzyskuje jednak dopiero w tych pieśniach, w których życie, a wraz z nim i miłość, korespondują ze śmiercią, tak jak w cudownie ponurym (cóż za zbitka słów...) „Po szerokim morzu”: *„Po szerokim, po szerokim morzu / płynie okręt z kotwicą urwaną / wiatr go pędzi coraz dalej, dalej / w przestrzeń pustą, chmurną, ołowianą”*. Porażające przesłanie, wyrażone z pomocą nader czytelnej metafory, Karłowicz obdarzył muzyką utrzymaną w tonacji żałobnej. Rytm pieśni płynie dostojnie i wolno, niczym marsz ostatniej drogi, wiodąc temat wprost do nieuniknionego finału: *„nie do brzegu ty płyniesz okręcie / o podwodną gdzieś uderzysz skałę / i bez śladu przepadniesz w odmęcie”*. Ostatnie słowo podkreśla przeszywający dreszczem akord fortissimo, a potem już sama muzyka wybrzmiewa, schodząc coraz niżej, coraz wolniej, z rezygnacją rozpraszając się w samotne, ciche nuty jak spadające łzy, dodając utworowi drugą, muzyczną, pointę.

Lecz metafizyczny wymiar nie osiągnął jeszcze apogeum. Myślę, że dopiero pieśń „Smutną jest dusza moja” (*„aż do śmierci”*) można za nie uznać. Utwór ponownie spięty muzyczną klamrą, która zamyka w sobie nieodwołalne memento: wspomnianym pierwszym słowem tekstu, równie jak i końcowym, towarzyszą pojedyncze, ponure, imitujące bicie żałobnego dzwonu, akordy. To się nazywa budowanie nastroju! A potem spokój rezygnacji wobec faktu śmierci przenika całą pieśń, nie pozostawiając słuchaczom żadnych złudzeń.

A na pierwszy rzut oka pieśni te wydają się zupełnie zwyczajne. Wyjątkowo piękne, to fakt, ale zwyczajne. Trzeba się w nich dopiero rozszluchać, dać się im ponieść i rozsmakować, by ogarnąć ich pełnię. Wtedy dopiero zaczynamy zauważać specyficzny nastrój: wyciszenie, dziwny smutek, klimat ulotnej dekadencji, bo nie tej typu „hard”, tetmajerowskiej, a tej uszlachetnionej muzyką i filozoficzną refleksją typu „soft” – karłowiczowskiej właśnie. Jak np. w jednej z najpiękniejszych pieśni pt. „Zawód”: *„Wkoło szumiały smreki w dal / jakimś modleniem cichym, wiecznym / byłaś mi tam czymś tak słonecznym / ach, jak mi żal, jak żal.”* Impresjonizm, tęsknota wyrażona z siłą niezwykłą, muzyka roztopiona w ciszy, by nie powiedzieć – w nirwanie, prosta, wzruszająca melodia wyraża całość, przeglądając się, niby w zwierciadle, w scenarii egzystencjalnej ciszy Tatr.



By zakończyć temat, powiem ciekawostkę. Otóż, miałem okazję słyszeć także i innych kompozytorów, którzy postanowili zmierzyć się z tymi samymi wierszami Tetmajera. I choć byli wśród nich muzycy dużo starsi, o wiele bardziej na niwie muzycznej zasłużeni, jak Noskowski czy Żeleński, jednak żadnemu z nich nie udało się nawet w połowie dorównać finezji Karłowicza, uzyskać takiej lekkości formy, takiego stopnia napięcia emocjonalnego, takiej siły wyrazu przy jednoczesnym zachowaniu wzruszającej prostoty melodii i subtelnego liryzmu. Młody kompozytor pozostał klasą sam dla siebie, nieodgadniony, niezgłębiony. Introwertyk ukryty w tajemnicy swojego wnętrza.

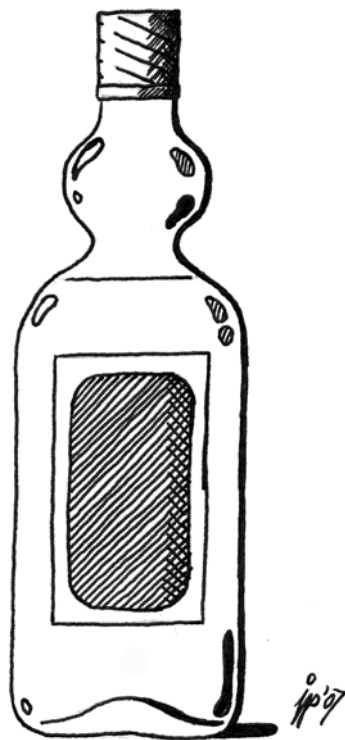
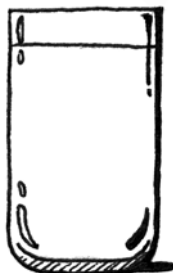
Andrzej Habasiński

* Część informacji podaję za prof. Mieczysławem Tomaszewskim, wybitnym muzykologiem, znawcą twórczości wokalne nie tylko Karłowicza.

MAŁY JUBILEUSZ „INFORMATORA”



fot. Ola Papierkowska (komórka)



... dwie setki i ćwiartka

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,
Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

GRAFIKA: Robert Kolasa (3), Kasia Piliszek (15), Jan Plata-Przechlewski (24)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR

225

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji